

CHŁOPCY

JAKUB ĆWIEK



CHŁOPCY

JAKUB ĆWIEK

KRAKÓW 2012

Anelii, Kevinowi oraz wszystkim wiecznym dziewczynkom i chłopcom urodzonym pierwszego czerwca

ZNALEZIONE, NIE KRADZIONE



To był całkiem udany wieczór, dopóki nie zjawili się Grzybiarze. Za pół godziny Tinka kończyła wyjątkowo spokojną zmianę, sprzątanina zostało raptem na kwadrans, a w kieszeni dżinsów szeleściły napiwki. Tak właśnie, szeleściły, a nie dzwoniły, bo Ruscy szastali szmałem jak nigdy. Wkrótce też miał wpaść Marek, żeby zabrać ją do Vulcano na imprezę. Zaproponował to sam z siebie, bez męczenia przyniósł kwiatek, obiecał, że wymyje motor... Coś czuła, że da mu dzisiaj, skoro tak się chłopak stara. Zasłużył.

– Tinka! Siódemka! – ryknął z kuchni Dymitr.

Dziewczyna podskoczyła nerwowo. Nieważne, ile razy go słyszała, zawsze reagowała tak samo. Miał rację jej świętej pamięci ojciec, który zwykł mawiać: „Dymitr to złoty człowiek, ale cios ma jak głos, a głos – jak salwa z Aurory”.

– Tinka!

– Już, już!

Wzięła z okienka talerz ze schabowym wielkości dwóch jej dłoni, górą podsmażanych ziemniaków i kopą czerwonej kapusty. Zastanawiała się przez moment, kto to właściwie zamówił, lecz połapała się szybko – możliwości nie było zbyt wiele. Wyszła zza kontuaru.

Minęła siedzące pod oknem dziewczyny czekające w milczeniu na zbłąkanego kierowcę. One też dostąpiły dziś łaskowości Ruskich, ale nawet jeśli cieszyły się, że dzięki premii nie będą musiały stać przy drodze po nocy, to nie dawały tego po sobie poznać. Wysoka i chuda Marika o wydatnych ustach, śniada Natasza ze śladami po trądziku widocznymi nawet spod grubej warstwy pudru, orientalnej urody Azja. A może Asia? Czasami dawało się z nimi rozmawiać, czasami nawet pożartować, zwykle jednak Tinka wolała ich unikać. Niby daniem dupy za pieniądze nie można się zarazić, ale...

„Złym dziewczynom dzieją się czasem złe rzeczy”, powiedział kiedyś Dymitr. Tinka wolała nie znajdować się wtedy w pobliżu i teraz też, przechodząc obok, mimowolnie przyspieszyła kroku. Nie zatrzymały jej.

– Co tam u ciebie, Tinka? – zawołał Grzech od Ikei.

Tak, właśnie Grzech, nie Grzesiek. Że niby takie dwuznaczne i przez to inteligentne. Woził meble na Poznań i Szczecin, zawsze wpadał na barszcz i krokiety, bo jego stara „wszystko umi, ale barszcz ma taki, że by ją posrało”. Był dziwny i trochę obleśny z tym swoim tłustym zaczesem i szczeciniastym wąsem, ale Tinka nawet go lubiła.

– To samo, co zwykle, Grzechu – odparła. – Idę dzisiaj tańczyć.

– Z tym twoim? – skrzywił się kierowca. – Mówię ci, złotko, on nie jest wart takiej lali jak ty. Spław go, póki ci jeszcze brzucha nie zrobił.

Roześmiała się i puściła do Grzecha oko, a potem dużym łukiem minęła stolik z Ruskimi, zajętymi jak co wieczór pić wódkę na szklanki i graniem w karty.

Ludzie, o których myślała „Ruscy”, nie byli zawsze ci sami. Jedni przyjeżdżali, inni właśnie ruszali w trasę, ale nawet gdyby nic nie mówili, i tak dałoby się poznać ich po zachowaniu. Wchodzili jak do

siebie, różni dziwki w kiblu, a potem siadali z rodakami do kart i wódki. Niektórzy, jak ci dzisiaj, byli mili i mieli gest, ale zdarzali się też tacy ze skłonnością do rozróby i macanek. Wtedy z kuchni wychodził wkurzony Dymitr, co kończyło się dla awanturników krwią, szwami i pustym portfelem. Kucharz nazywał tego rodzaju opłatę „szkodliwym”.

Tinka dotarła do stolika, przy którym siedział mężczyzna w czarnym, obcisłym T-shircie, skórzanej kurtce, z czerwoną bandaną wokół szyi. Jego jako jedyne na sali nie znała; całkiem możliwe, że był U Wujaszka po raz pierwszy. Gdy podniósł głowę, by na nią spojrzeć, dostrzegła na jego twarzy kilka niepokojąco wyglądających blizn.

– Pan chciał schabowy, tak? – zapytała.

Skinął głową i wymownie spojrzął na zegarek. A potem na nią.

– Się musiał usmażyć. – Tinka wzruszyła ramionami. – Mogę dać panu kompot za to, że pan czekał.

W sensie: w gratisie.

Ponownie skinął głową, widocznie pasował mu taki układ. Sięgnął do koszyka po plastikowe sztucce, opuścił głowę i w milczeniu zabrał się do jedzenia. Sądząc po tym, jak wrzucał w siebie ziemniaki i kawałki kotleta, musiał być naprawdę bardzo, bardzo głodny. Właściwie w ogóle ich nie gryzł, tylko chaps i gulp, chaps i gulp... Wyglądało to z jednej strony trochę obrzydliwe, z drugiej jednak było na swój sposób fascynujące i Tinka zorientowała się naraz, że trudno jej oderwać od niego oczy.

Był młodszy, niż mogło się to wydawać na pierwszy rzut oka. Dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata, blond włosy przycięte krótko, po żołniersku – góra dłuższa, boki do skóry – twarz pociągła z wyraźnymi kośćmi policzkowymi. Nos lekko skrzywiony, zgrubiały u nasady, głęboko osadzone jasne oczy. Mężczyzna na swój sposób był nawet przystojny, a blizny, zwłaszcza ta pionowa, jakby rozcinająca lewe oko, dodawały mu niepokojącego uroku. Kark miał szeroki, napięty, na kurtce Tinka zauważyła klubowe godło, z którego udało się jej odczytać tylko kawałek napisu: „UBIENI CHŁO”. Resztę zasłaniało oparcie krzesła.

Musiał wyczuć na sobie jej spojrzenie, bo przerwał posiłek, uniósł głowę i wyszczerzył się do dziewczyny jak zadowolony z siebie dzieciak. Była to tak pogodna i niespodziewana reakcja, że kelnerka mimowolnie odpowiedziała uśmiechem.

Jakby tylko na to czekał. Otarł usta rękawem kurtki i odsunął się na krześle. Nie przestając się szczerzyć, wskazał kciukiem na nią, potem na swoje krocze i znowu na nią, po czym pytająco uniósł brwi.

Tinka westchnęła z rezygnacją.

– Nie, dzięki – mruknęła.

Wzruszył ramionami, co miało pewnie znaczyć: „OK, trudno”. Przysunął się do stołu i wrócił do jedzenia.

Jego reakcja zdenerwowała Tinkę jeszcze bardziej. Mruczając coś pod nosem, ruszyła między stolikami, by jak najszybciej skryć się za ladą. Była zła tym bardziej, że przez chwilę, krótką, ale intensywną, motocyklista naprawdę się jej podobał. I nawet to, co zrobił, było na swój sposób...

– Och, zamknij się – warknęła na własne myśli.

I wtedy właśnie zabrzmiał dzwonek nad drzwiami.

* * *

Musieli przyjść prosto z lasu, pomyślała, przyglądając się wchodzącym. Przyjść, bo inaczej usłyszałyby silnik albo przynajmniej trzask zamykanych drzwi samochodu. Była wyczulona na te dźwięki, odkąd Dymitr obkleił okno reklamą i przestała widzieć, co się dzieje na parkingu. Zwłaszcza pod koniec zmiany usłyszałyby każdy szmer dochodzący z zewnątrz.

Jeszcze zanim usiedli, policzyła ich szybko, żeby przekazać wiadomość Dymitrowi. Kucharz, przyzwyczajony do pracy w barze na odludziu, lubił wiedzieć „ot, tak, na wszelki słuczaj”, ilu i jakich klientów ma w lokalu.

– Pięciu, chyba grzybiarze – powiedziała do okienka.

Po chwili zorientowała się, że nie mieli przecież żadnych koszyków czy plecaków. Cóż innego jednak mogliby robić w lesie taki kawał od wioski?

– Mhm – mruknął tylko Dymitr.

Złapała za notes, poprawiła fartuszek i ruszyła do nowych klientów. Idąc, rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę motocyklisty, ale ten zwiesił głowę i wpatrywał się w swój pusty talerz. Zrobiło mu się głupio po tym, jak się zachował? Miała nadzieję, że tak, bo naprawdę wyglądał całkiem fajnie i szkoda, gdyby był tylko kolejnym dupkiem na drodze. I bez tego było ich mrowie.

Podeszła do stolika nowych klientów, przewróciła kartkę w notesie, kliknęła długopisem.

– Co podać? – zapytała.

Dopiero wtedy uniosła głowę znad kartki i przyjrzała się gościom uważniej. Poczwała ukłucie niepokoju. A może strachu?

Coś było z tymi ludźmi nie tak. Żaden z nich nie wyglądał jak grzybiarz ani w ogóle ktoś, kto znalazłby się w lesie z własnej nieprzymuszonej woli. Trudno było ich też nazwać dopasowaną kompanią: prosiak w golfie, monter, szpakowaty garniak i dwóch dresów. Mogliby się niby spotkać U Wujaszka – takie właśnie są bary na odludziu – ale raczej nie przyszliby razem i nie zajęliby jednego stolika, prawda?

Ci przyszli, Tinka skarciła się w myślach. A ty masz zebrać od nich zamówienia, a potem podać im żarcie, przebrać się i poczekać na Marka. Za dużo główkujesz, dziewczyno. Stanowczo za dużo!

– Czy już się panowie zdecy... – zaczęła, ale wtedy Prosiak spojrzał na nią i przechylił głowę jak sroka.

– Mięso? – zapytał. – Macie jakieś mięso?

Przez moment Tince wydawało się, że jego oczy są zupełnie czarne, a zęby to dwa rzędy pożółkłych, naostrzonych palików. Wszystko to jednak minęło, ledwie mrugnęła. Wzięła więc głęboki oddech

i spróbowała się uśmiechnąć. To tylko zmęczenie, wmawiała sobie. Ale przecież jeszcze tylko chwila, potem koniec zmiany, Marek i...

– Został jeszcze schabowy – zaczęła wyliczać – filet z kurczaka, golonka, ale na nią trzeba czekać...

– Nie chcemy czekać – stwierdził Monter i oblizał się powoli, przymykając przy tym oczy. – Chcemy mięso. Teraz.

Tinka marzyła jedynie o tym, by odwrócić się na pięcie i pognać za blat. Nieważne, czy wcześniej tylko jej się zdawało, czy nie, w tych typach było coś przerażającego. Tak różni, wcale ze sobą nie rozmawiali, tylko patrzyli, przyglądali się jej uważnie, a ich źrenice z każdą chwilą wyglądały na większe i większe. Miała wrażenie, że jeszcze chwila i zmienią się w szklane paciorki jak u przerażających porcelanowych lalek cioci Natalii, tych, które przyglądały ci się nawet wtedy, gdy spałeś, i wciąż myślały, jak...

Potrząsnęła głową. Skup się! Przyjmij zamówienie, a potem będziesz mogła pójść do domu. Nie do Vulcano, już odechciało się jej tańców, Marka i zalotów. Do domu, prosto do swojego pokoju, pod własną kołdrę. Z dala od tych dziwnych ludzi.

– Dobrze. – Zapisała coś w notesie, bez znaczenia, szlaczek. – Zobaczę, co się da przygotować najszybciej.

– Nie przygotować – powiedział szpakowaty. – Po prostu przynieść. Mięso. Dla wszystkich to samo. Nic do picia. Zapłacimy gotówką. Dziękuję.

Jak robot, pomyślała Tinka. Albo ktoś, kto za wszelką cenę chce udawać, że jest normalnym, zwyczajnym człowiekiem. W rzeczywistości to uciekinierzy z wariatkowa, którzy zatrzymali przypadkowe samochody, pozabijali kierowców, a potem przebrali się... Dość! Jeszcze jeden głęboki oddech, uśmiech i w tył zwrot. A w domu koniec z chorymi filmami o psycholach, bo to siada na wyobraźnię!

Podziękowała za zamówienie, odwróciła się i rozejrzała po sali. Ruscy i Grzech nawet nie zwrócili uwagi na nowych, dziwki za to wręcz przeciwnie. Zwłaszcza Marika wyglądała, jakby tylko czekała, aż kelnerka odejdzie od stołu, by mogła zapolować. Pewnie na Szpakowatego. Tinka ani myślała jej w tym przeszkadzać, o ile oczywiście dziwka zdąży, zanim Dymitr ich wszystkich stąd wyrzuci. Nie przygotować...? Czy on chciał, żeby dać im surowe mięso? Jezu!

Mimowolnie zerknęła w stronę motocyklisty i dostrzegła, że ten wciąż gapi się w swój talerz i tylko ukradkiem zerka co jakiś czas. Na krótki moment ich spojrzenia się spotkały, a wtedy przywołał ją nerwowym ruchem głowy.

Podeszła na nieco drżących nogach.

– Smakowało? – zapytała, widząc stojący przed nim pusty talerz.

Niektórzy wybierali ten właśnie moment – tuż po posiłku – na złożenie reklamacji i chyba miała nadzieję, że to jeden z tych głupich przypadków, bo to byłoby takie... normalne? Zwyczajne? Zupełnie niepodobne do tego, czego doświadczyła przed momentem, a czego nie potrafiła nawet ogarnąć. Bo przecież w zasadzie nic się nie wydarzyło. Nic się nie stało, a mimo to trzęsła się jak w febrze.

Motocyklista jednak nie zamierzał składać reklamacji. Przyłożył palec do ust, a potem brodą wskazał na piątkę z lasu. Następnie sięgnął po sól, rozsypał ją na stole i napisał palcem:

– TYLNE WYJŚCIE?

Czyżbyś ich znał? – pomyślała Tinka. Im też pokazywałeś coś głupiego? A może ochlapałeś ich wodą z kałuży, gdy szli tu po swoje... mięso.

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie głosu Prosiaka. Zerknęła w stronę stolika, przy którym siedzieli nieznajomi, a potem w kierunku okienka, za którym krył się Dymitr. Wielki Dymitr ze swoim tasakiem i „wypierdalaj” szorstkim i zimnym jak syberyjskie mrozy.

Motocyklista zamazał napis i skreślił kolejne koślawe litery:

– ZAPŁACĘ.

A potem z kieszeni wyciągnął zwitek stówek. Zamachał nim i wcisnął dziewczynie do ręki. Gruby zwitek, mógłby spokojnie być ceną za czyjeś życie. Ta myśl napełniła ją prawdziwym przerażeniem. Kim oni wszyscy są?!

Zważyła pieniądze w ręce i jeszcze raz zerknęła w stronę Grzybiarzy. Tak jak podejrzewała, przy Szpakowatym stała już Marika i próbowała roztaczać swe kurwie uroki. Na razie bez większego powodzenia, ale przynajmniej skutecznie odwracała ich uwagę. Oby na dość długo.

– Chodź – szepnęła Tinka do motocyklisty.

Posłusznie wstał i podążył za nią.

Zrobili mały łuk, minęli kilka pustych stolików i już, już mieli wejść za ladę, gdy nagle od stolika Grzybiarzy dobiegł ich przeraźliwy wrzask Mariki.

* * *

To nie mogło się dziać naprawdę! Trudno jednak było nie wierzyć własnym oczom i uszom. Bo przecież Tinka tam była, słyszała wrzask i widziała, jak Szpakowaty wgryza się w pierś dziwki i szarpie ją zębami.

Marika próbowała się uwolnić, ale tylko przez moment, bo zaraz potem naskoczył na nią jeden z Dresów, rozdziawił gębę pełną ostrych jak paliki zębów i wpił się w jej szyję. Niemal w tej samej chwili jego kompan doskoczył do dziewczyny, również gryząc i szarpiąc. We trzech wyrwali z jej ciała krwawe ochłapy.

Wszystko to trwało ledwie chwilę, tak krótką, że nikt – ani Natasza z Azją, ani Grzech czy Ruscy – nie zdążył nawet wstać. Wystarczająco jednak długą, by ładną dziewczynę, jaką jeszcze przed chwilą była Marika, zmienić w zalane krwią zwłoki, podrygujące w ostatnich spazmach. By zmienić ją w...

Mięso, pomyślała Tinka i zgięła się w pół. Struga ciepłych wymiocin poleciała na podłogę, obryzgując jej nogi. Poczwała dreszcz przechodzący przez całe ciało, kolana się pod nią ugięły. Miała wrażenie, że

zaraz upadnie, ale na szczęście udało jej się oprzeć o blat i utrzymać równowagę.

Nie chciała patrzeć, ale mimo to odruchowo zerknęła w stronę Grzybiarzy. Jak ten Morfeusz czy jak mu tam było, ten z mitów, co poszedł po żonę do piekła. Zwyczajnie nie mogła się powstrzymać. I tak, teraz już bez wątpienia wszyscy mieli oczy czarne jak szklane paciorki, a spomiędzy rozciągniętych w uśmiechach warg wystawały im zaostrome paliki zębów. Co gorsza, dwóch właśnie wpatrywało się w nią i jej towarzysza.

– Dymitr? – zawołała.

Wtedy zaatakowali. Byli szybcy, niesamowicie szybcy, a do tego zwinni jak zwierzęta. Z ich ostrych jak szpikulce kłów kapala ślina, języki błędziły po blydych wargach, a w oczach czały się głód i... rozbawienie? Przerazona Tinka nie potrafiła tego stwierdzić.

– Dymitr! – krzyknęła raz jeszcze.

Drzwi od zaplecza odskoczyły z impetem, a w progu pojawił się wielki, łysy węsacz w białym fartuchu, spod którego wyzierała pasiasta koszulka. W rękach trzymał myśliwską dwururkę.

Dymitr potrzebował ledwie chwili, by ocenić sytuację – dostrzec zalaną krwią dziwkę i dwóch akrobatów pędzących po stołach w stronę Tinki i motocyklisty. Złożył się do strzału i pociągnął za spust.

Rozległ się huk. Głowa Montera rozprysła się niczym zgniły arbuz. Ciało drgnęło jeszcze w kilku nerwowych skurczach. Zanim znieruchomiało, padł kolejny strzał, który w podobny sposób rozłożył Prosiaka.

Tinka zamarła w bezruchu. Niezdolna do odwrócenia głowy patrzyła na leżące na stolikach zwłoki z mieszaniną obrzydzenia i niezwyklej, nieznaney jej dotąd fascynacji. Nie wiedziała wcześniej, że z ciał zaraz po śmierci unosi się dym, zupełnie jakby dusza uciekała ku niebu. Nie miała też pojęcia, że zaraz potem zwłoki zapadają się w siebie, a ciało drga w konwulsjach, jakby kłębiło się w nim mnóstwo małych stworzeń...

Ktoś mocno, boleśnie złapał ją za rękę i pociągnął w stronę zaplecza. Motocyklista. Nie opierała się, miała wrażenie, że nawet gdyby teraz chciała, nie byłaby w stanie. Jej oczy rejestrowały obojętnie ożywionych nagle Ruskich, którzy rzucili się na pozostałych Grzybiarzy z tulipanami z butelek. Do jej uszu docierały wrzaski Nataszy i Azji, a także rechot Szpakowatego i mlaskanie Dresów. Nie myślała o tym, co widzi, nie zastanawiała się, jak to wszystko jest w ogóle możliwe i czy będzie w stanie dzisiaj zasnąć. Przestała się nawet bać. „Reset”, powiedziałby Marek, jej Marek, z którym miała iść dziś na tańce. Jej mózg się zresetował.

Minęli Dymitra, który właśnie przeładowywał złamaną wpół dwururkę, i wbiegli na zaplecze. Wtedy Tinka obejrzała się po raz ostatni.

Zobaczyła szczury. A potem drzwi się zamknęły.

Wrzaski, piski i wystrzały docierały teraz do niej jak przez mgłę. Motocyklista przeciągnął ją przez całe zaplecze, zatrzymał się dopiero przy drzwiach na podwórze, gdzie z haka na ścianie ściągnął pęk kluczy. Pokazał go Tince, ale dziewczyna nie była w stanie wskazać, który jest właściwy, więc wściekły cisnął pęk w głąb kuchni i otworzył drzwi kopnięciem. Wypchnął kelnerkę na zewnątrz.

Zatoczyła się, potykając na jednym z trzech koślawych schodków, ale utrzymała równowagę. Zimne, wieczorne powietrze przyprawiało o gęsią skórkę, ale również przyjemnie chłodziło i koło piekące od wymiocin gardło. Żyła, to było teraz najważniejsze. Żyła!

Za jej plecami motocyklista blokował drzwi za pomocą starej, dębowej kłody. To był kawał drewna – Dymitr siedział na nim, gdy wychodził zapalić te swoje cuchnące papierosy bez filtra – a mimo to jej nowy towarzysz podniósł kłodę bez trudu i oparł o drzwi, tak by nikt nie poszedł ich śladem.

To się nie zdarzy, chciała powiedzieć Tinka, musieliby przejść przez Dymitra. Ale zmilczała, bo nagle przestała być tego taka pewna.

Motocyklista otrzepał ręce i podszedł do kelnerki. Bezceremonialnie sięgnął do jej fartucha i wyjął z niego notes i długopis. Skinął głową, dając jej znak, by podążyła za nim.

Obeszli budynek, zatrzymując się przy jednej z wielkich ruskich ciężarówek. Tinka zastanawiała się, dlaczego tu, dlaczego nie idą prosto do jego motoru – wielkiej czarnej maszyny z kierownicą jak rogi bawołu i przednim kołem wysuniętym daleko do przodu. Dlaczego nie wsiądą na niego i nie sprowadzą pomocy, zanim Dymitrowi zabraknie pocisków albo zanim te szczury...

Z całej siły uderzyła się w twarz.

– Tam nie było szczurów! – wycodziła.

Ale wtedy motocyklista spojrzał na nią i smętnie pokiwał głową. „Niestety były”, mówił ten gest. „Nadal są”. Podał jej notes.

Spojrzała na pierwszą kartkę i dziwaczny obrazek przedstawiający coś jakby krzyż w kółku i gwiazdkę w prawej górnej ćwiartce. Nigdy wcześniej nie widziała tego znaku i z niczym jej się nie kojarzył. Zanim jednak zdążyła o cokolwiek zapytać, motocyklista znowu zabrał jej notes.

– NARYSUJ – napisał.

Wskazał wysypany żwirem parking, po czym schylił się po wielki kamień i skoczył ku drzwiom do szoferki najbliższej z ciężarówek.

Tinka wzięła kilka głębokich oddechów. Nie myśl, nakazała sobie. Nie myśl, tylko rób, co ci mówią, dobrze i szybko, a może uda ci się ściągnąć pomoc i uratować Dymitra. Już!

Wybiegła na środek parkingu, starając się w ogóle nie patrzeć w stronę baru. Wielkie okno było całkowicie zasłonięte reklamami, więc i tak niczego by nie dojrzała, ale bała się, bała... szczurów? Idącej ku niej, zalanej krwią Mariki? Grzybiarzy z oczami jak paciorki i zębami...

– Stul swą jebaną w pierdolony chuj mordę! – wrzasnęła i wymierzyła sobie jeszcze jeden siarczysty

policzek dla otrzeźwienia.

Za jej plecami ryknął silnik ciężarówki, ale się nie odwróciła. Zaczęła rysować.

Najpierw krzyżyk. To było proste. Potem dwa razy próbowała zamknąć go w kółku. Wreszcie gwiazdka. Ledwie skończyła, podbiegł do niej motocyklista. Dopiero wtedy odważyła się obejrzeć i dostrzegła, że zaparkował ciężarówkę tak, by zablokować nią okno i główne wyjście. Zapamiętał, że drzwi otwierają się na zewnątrz, czy po prostu miał fart?

Przyjrzał się uważnie rysunkowi i pokiwał głową z aprobatą. Potem przykucnął, z buta wyciągnął krótki, wąski nóż, a zza skarpetki – małeńki woreczek białego proszku.

Diler, jęknęła w myślach Tinka. Absurdalnie, zważywszy na okoliczności.

Otworzył woreczek i niemal całą jego zawartość wysypał na gwiazdkę. Następnie naciął rękę nożem i pozwolił, by jego krew zmieszała się z proszkiem.

Nie śmiała pytać. Zresztą nie zdążyłaby, bo ledwie na ziemię upadła czwarta kropla, motocyklista poderwał się z klęczek, złapał dziewczynę w pasie i odsunął ją od kręgu.

W samą porę. Nad symbolem nagle zafalowało powietrze, a potem trzasnęło elektryczne wyładowanie, które na moment oślepiło Tinkę, a jej włosy natychmiast postawiło na baczność. Zaraz potem rozległ się niski, przepełniony dziecięcą pretensją głos:

– No żeż paciorek w dupie, Milczek! Musiałeś teraz, kiedy leję?

* * *

Mężczyzna w kręgu był i nie był podobny do motocyklisty.

Był, bo miał na sobie niemal identyczny strój i twarz poznaczoną bliznami odcinającymi się sinym blaskiem w świetle pobliskiej latarni. Gdy się szczyrzył w głupim uśmiechu, prezentował ten sam grymas, który zafundował Tince jej obecny towarzysz, jeszcze jako klient U Wujaszka.

Nie był, bo miał blisko dwa metry wzrostu, gęstą, rudą brodę i długie, kręcone włosy związane w koński ogon. No i mówił. To też była wielka, zasadnicza wręcz różnica.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego, Milczek – mruzczał olbrzym, dopinając rozporek. – Jak ona się dowie, że zmarnowałeś towar, bo zabrakło ci paliwa, to wiesz co i z czego ci powyrywa. Rzecz jasna, jeśli ja nie zrobię tego...

Przerwał, gdy Milczek zamachał rękami, wykonując serię gestów. Olbrzym skrzywił się, splunął.

– Kurwa! – warknął. – Kurwa! Kurwa! Kurwa! Ilu?

Milczek pokazał pięć palców. A potem coś zamigał i pokazał ósemkę. A potem zamachał dłonią, jakby chciał powiedzieć „mniej więcej”. Tinka domyśliła się, że ta druga liczba dotyczyła pozostałych. Nie pomyliła się.

– I wszystkich masz, tak? Nikt i nic nie przelazło?

Milczek pokiwał głową, a potem wskazał na Tinkę. „Tylko ona”, mówił ten gest.

Dopiero wtedy olbrzym zwrócił uwagę na kelnerkę. Zmierzył ją wzrokiem z góry na dół, na chwilę zatrzymując się na drobnym biuście. Gdy spojrzał jej w twarz, uśmiechał się jak dobrotliwy, rudy Mikołaj.

– Powiedz mi, piękna – zaczął ciepłym, niskim głosem. – Pewnie masz tam kogoś, kogo chciałabyś uratować, prawda? Kogoś bliskiego?

Tinka pomyślała o Dymitrze i pokiwała energicznie głową.

Olbrzym westchnął.

– Tak myślałem – mruknął.

Jedną ręką rozpiął pasek spodni, a drugą błyskawicznie pochwycił dziewczynę za nadgarstek i mocnym uściskiem zmusił ją, by uklękła.

Ból i narastająca bezsilność sprawiły, że Tinka poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Odwróciła głowę w poszukiwaniu Milczka, licząc, że jej pomoże, ale on tylko rozłożył ręce. „Co ja mogę?”, mówił ten gest. A może: „Taki jest los ładnych dziewczyn zostawionych na pastwę motocyklistów”.

Tymczasem olbrzym zdjął już pasek i owinał nim Tinkę tak, że przycisnął jej ręce do tułowia. Zacisnął mocno, a na koniec ściągnął z szyi bandanę, czymś ją pokropił i wepchnął Tince głęboko do ust.

– Ha! Mam cię – powiedział wyraźnie zadowolony z siebie. – Przyznaj, nie tego się spodziewałaś, prawda? Siedz tu teraz grzecznie, a my pójdziemy dopierdolić przybłędom. I ich nowemu mięsku też, niestety. Sorry.

Odwrócił się, a wtedy zobaczyła wreszcie, co obaj – olbrzym i Milczek – mają na plecach swych skórzanych kurtek. Napis, który wcześniej udało jej się częściowo odczytać, brzmiał w całości: „ZAGUBIENI CHŁOPCY”. Pod nim widniał roztrzaskany zegarek cebula, a na samym dole napis: „NIBYLANDIA”.

To zupełnie jak z tej bajki... – zdążyła pomyśleć, a potem osunęła się nieprzytomna na zwir.

* * *

Obudził ją kręcący w nosie zapach dymu i wszechobecny żar. Musiała tak leżeć dłuższą chwilę, bo czuła się, jakby za długo siedziała przy ognisku. Twarz paliła ją żywym ogniem, do policzka przykleiły się zlepione w strąki włosy, wargi i język wyschły na wiór. Zalepione oczy za nic nie dawały się otworzyć.

Pociągnęła nosem i skrzywiła się, gdy poczuła obrzydliwą mieszankę smrodów: spalonego mięsa, topionego plastiku oraz, najbardziej niepokojącą, woń benzyny. Gdy była mała, lubiła ten zapach, teraz to on z całej mieszanki najbardziej przyprawiał ją o mdłości. Był taki... metalicznie słodko-słony. Jak krowka ciągutka zmieszana z krwią i rozciągnięta na cynfolii. Jak...

– Nieważne – szepnęła ledwie słyszalnie. – Nieważne.

Spróbowała wstać, była jednak spętana grubym skórzanym paskiem tuż nad linią bioder. Jej ręce ciasno przylegały do tułowia i jedyne, co mogła robić, to rzucać się na żwirze jak wyciągnięta z wody ryba. Drobne kamyczki wbijały się wówczas w ciało, raniły dłonie, wdzierały pod fartuch i do spodni. Nie osiągnęła nic prócz bólu, więc przestała, zastanawiając się, kto i dlaczego ją spętał. I gdzie właściwie jest. I dlaczego. I co się z nią teraz...

Rozległ się huk i niemal jednocześnie głośny, przeszywający pisk. I to właśnie ów dźwięk i towarzyszący mu strach sprawiły, że Tince wreszcie udało się otworzyć oczy.

– Patrz, Milczek, obudziła się królowna – zawołał stojący nad nią rudobrody olbrzym w skórzanej kurtce. – Najwyższa pora, bo mi już bez tego paska gacie, kurwa, lecą.

W lewej ręce trzymał dubeltówkę z oberżniętą lufą, niemal dokładnie taką samą, jak... jak... Tinka nie potrafiła sobie przypomnieć, kto miał taką właśnie broń, zdawało jej się jednak, że był to ktoś dla niej ważny.

– Gdzie... Gdzie ja jestem? – wychrypiała.

Olbrzym roześmiał się rubasznie.

– W piekle, maleńka. Ale za to w doborowym towarzystwie.

Uniósł wyżej lewą rękę i nacisnął spust. Znowu rozległ się huk i ten sam wysoki pisk, od którego włosy stawały dęba.

Tinka przekręciła się na żwirze, chcąc poznać cel olbrzyma, i wtedy jej oczom ukazał się płonący przydrożny bar. Zwykła buda, jakich wiele na każdej trasie w kraju, z tych lepszych, bo murowana, ale oczywiście z nieodłączną – teraz szerniącą – reklamą coca-coli na szybie, z anteną satelitarną na dachu i rzędem małych kominów nad kuchnią. Tuż przy drzwiach płonęła wielka ciężarówka z przyczepą, było jednak zbyt gorąco, za daleko i z pewnością za późno, by można stwierdzić na pewno, co zapaliło się pierwsze. Zresztą jakie to miało teraz znaczenie?

Rozległ się kolejny huk, a potem pisk, tym razem z innej strony. Tinka uniosła głowę i wtedy dostrzegła, że był jeszcze jeden mężczyzna. Podobnie jak olbrzym miał na sobie skózaną kurtkę ze znakiem zegara na plecach. „ZAGUBIENI CHŁOPCY”, głosił napis nad godłem. „NIBYLANDIA”, mówił ten pod nim. Tinka była pewna, że już to kiedyś widziała.

Po raz kolejny rozległ się wystrzał, a potem tubalny głos olbrzyma:

– Dobra, Milczek. Koniec. Więcej nie ukęcimy, bo albo zwiąły w las, albo pluskają się już cholery w rajskim kanale. Szkoda naboii.

Drugi mężczyzna skinął głową, opuścił broń i bez słowa ruszył w stronę stojącego nieopodal motoru.

Oczywiście, że bez słowa, skarciła się w myślach Tinka. Pewnie dlatego nazywa się Milczek.

Olbrzym podszedł do niej. Prawą ręką złapał za dekolt fartuszka i podniósł ją na nogi, lewą rozpiął pętając ją pasek. A potem przyjrzał się Tince uważnie.

– Kurde, ładniutka jesteś, księżniczko – stwierdził. – Aż by się chciało zapytać, co taka ładna dziewczyna robi z facetem takim jak Milczek.

Pokręcił głową i westchnął, całkiem dobrze udając żal.

– Ale pewnie nie pamiętasz, co nie? Powiedz, pamiętasz?

Pokręciła głową. Chciała też wzruszyć ramionami, te jednak miała tak odrętwiałe, że nie odważyła się spróbować.

– No dobra, ale skoro nie pamiętasz – ciągnął olbrzym zupełnie niezrażony jej milczeniem – to mogę powiedzieć, że cię znalazłem, prawda? A wiesz, co mówią: znalezione nie kradzione.

Tinka nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na wielkoluda, zastanawiając się, kim jest, skąd się tu wziął i dlaczego jeszcze przed chwilą była spętana jego paskiem. Oczywiście nawet gdyby była w stanie, nie zadałaby głośno żadnego z tych pytań. Może i nie pamiętała zbyt wiele, ale przecież nie była głupia.

W międzyczasie dołączył do nich drugi z mężczyzn. Nie miał broni, najwyraźniej zostawił ją przy motorze, ale trzymał w ręku patyk z nabitymi nań resztkami szczura. Szcherzył się głupkowato i zerkał to na szczura, to znów na Tinkę, jakby pytał, czy jest głodna.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Była pewna, że już kiedyś widziała tego mężczyznę, ten głupkowaty uśmiech i to, jak wodzi oczami od niej do...

– Cholera! – wycharczała.

– O tak – zgodził się olbrzym. – Cholera jak kurwa mać! Trzeba zawiadomić szefową, że znowu się zjechało. Dawaj kluczyki, Milczek.

Uśmiech w jednej chwili zniknął z twarzy drugiego nieznanego, zastąpiony gniewnym grymasem. Mężczyzna zamigał coś gwałtownie wolną ręką.

– Nie spierdalaj, tylko dawaj. – Olbrzym pozostał niewzruszony. – Ściągnęłam mnie na to jebane pustkowie, robotę z tobą robię, ale stać tu, kurwa, nie będę. I tak mnie czeka potem szukanie mojej pani w szczerym polu na końcu świata.

Milczek cisnął na bok patyk i zamigał jeszcze gwałtowniej. Raz czy drugi prawie uderzył Tinkę, a po jego twarzy widać było, że jest naprawdę wściekły.

Na rudobrodym gesty towarzysza wciąż jednak nie robiły wrażenia. Odczekał, aż tamten skończy swą niemą tyradę. Potem olał propozycję kompromisu. Był za wielki na kompromisy i dobrze o tym wiedział.

– Sam jesteś, kurwa, marynarz – stwierdził. – Dawaj kluczyki, bo tak cię załatwię, że będziesz milczał falsetem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, aż w końcu Milczek zrezygnowany machnął ręką i sięgnął do kieszeni.

– Bardzo dobrze. – Olbrzym skinął głową. – Masz tu spluwę, masz drugą. Idź i poszukaj źródła. A ja zabiorę nową koleżankę do reszty i wpadniemy tu za chwilę całą zgrają. Gra?

Milczek wskazał ręką na udo olbrzyma, ale tamten tylko pokręcił głową.

– Nie, nie dam ci mojego noża. Trzeba było nie gubić swojego – powiedział.

Złapał Tinkę za ramię i delikatnie, acz stanowczo pchnął ją w stronę motoru.

– Mam nadzieję, że lubisz wiatr we włosach, mała? Bo kawałek się przejedziemy.

Wyprzedził ją, wsiadł na motor, złożył stopkę i poklepał miejsce przed sobą. Jednocześnie lewą ręką sięgnął do kieszeni i wyjął mały przezroczysty woreczek z białym proszkiem.

Diler, jęknęła w myślach Tinka. Echem w jej głowie odezwało się to dziwne uczucie, którego nazwa brzmiała z francuska.

Tymczasem olbrzym otworzył woreczek, przystawił do wielkiego nosa i wciągnął niemal połowę zawartości do jednej dziurki. Otarł przyprószone pyłem wąsy i jeszcze raz poklepał siedzenie przed sobą.

– A przy okazji, bo przecież się nie znamy. Jestem Kędzior.

– Tinka – odparła mimowolnie.

– Wsiadaj, Tinka. I lepiej zamknij oczy.

Wahała się, ale tylko przez moment. Przecież i tak nie miała wyboru.

* * *

Tinka lubiła motocykle. Lubiła to, jak przyjemnie, podniecająco pod nią wibrowały, jak mruczały cicho na jałowym biegu niczym ogromne leniwe kociaki przeciągające się na słońcu. Zawsze nabierała się na ten senny moment, mówiła, że to jej wystarczy, ale wiedziała, że to bzdura, bo potem było jeszcze lepiej. Zryw i nagłe przyspieszenie, zimny podmuch, przeszywający całe ciało po czubki palców, przegięcie na bok przy wejściu w pierwszy zakręt z prędkością zredukowaną tylko tyle, ile to naprawdę konieczne. To wtedy twój błędnik szaleje, wrzeszczy: „Upadniesz, upadniesz, zabijemy się!”. A potem żyjesz dalej.

Czy to prawda? – pomyślała. To rzeczywiście moje wspomnienie czy właśnie to sobie wymyśliłam?

Wyjechali właśnie na drogę, zostawiając za sobą żwirowy parking, Milczka i resztki płonącego baru. Kędzior posadził ją przed sobą bokiem, zamknął w klatce z szerokiej piersi i ogromnych przedramion. Przed sobą miała stalowej barwy kierownicę wygiętą w bawole rogi, a dalej snop światła robiący wyłom w ciemności. Motor pod nią wibrował przyjemnie aż do omdlenia...

– Dobra, dziunia – zawołał do niej olbrzym – wjeżdżamy na autostradę do piekła, więc lepiej zamknij oczka. Siwa nie będziesz już taka gorąca.

Posłuchała. Zamknęła oczy i na wszelki wypadek odwróciła też głowę, żeby żaden zbłąkany owad czy kamyczek nie uderzył jej w twarz. Wtuliła się w pierś olbrzyma, pachnącą dymem i świeżym potem. Było w tym zapachu coś kojącego, coś uspokajającego. Coś...

– No już, już, maleńka – mruknął Kędzior. – Jak to mawiają Bliźniaki, loda w siodle nie ukrećisz, więc siedź spokojnie i poczekaj, aż dojedziemy.

Silnik ryknął, motor szarpnął się i wyrwał do przodu. To było coś więcej niż zwykłe przyspieszenie, przypominało raczej upadek z dużej wysokości, ale w poziomie. Przeciężenie i trzask w uszach jak przy zmianie ciśnienia. A potem nagle fala chłodu.

Co zaskakujące, Tinka wcale nie czuła pędu, zupełnie jakby wciąż stali na jałowym biegu. Motor

pracował miarowo, Kędzior mruczał coś pod nosem. I tylko to zimno...

Otworzyła oczy, by sprawdzić, czy naprawdę jąda, i aż jęknęła z przestraczem. Wokół panowała absolutna ciemność. Nie było ani światła reflektora, ani blasku księżyca. Nic!

Ośleplam, pomyślała w pierwszym odruchu paniki. O Boże, ośleplam!

– Nie wierzgaj, niunia – mruknął Kędzior. – Nie bój się, nie oślepląś, ale jeżeli zaraz nie zamkniesz oczu, to możesz mi wierzyć, że ci je wydlubię.

Uwierzyła. Posłusznie zamknęła oczy i jeszcze mocniej niż za pierwszym razem wtuliła głowę w pierś olbrzyma.

Tym razem nie zażartował.

* * *

Milczek nie zamierzał słuchać Kędziora i ani mu w głowie było szukanie źródła. Zamiast tego władował na kij kilka rozpaćkanych szcurów, wystawił je nad płomienie, a potem usiadł w pewnym oddaleniu i patrzył, jak się pieką. Nie zamierzał ich jeść – po niedawnym obfitym obiedzie nie był wcale głodny – ale pieczenie smakołyków nad ogniskiem zawsze sprawiało mu frajdę. W dawnych czasach, gdy podczas biwaków inni śpiewali albo opowiadali sobie historie o duchach, on siadał z kijem w ręku i gapił się w ogień. Odgadywał kształty zakłete w płomieniach. Kiedyś, co prawda, widział tam roztańczonych Indian, dziś raczej roznegliżowane modelki z „Hustlera”, najważniejsze jednak, że wciąż potrafił czerpać z tego przyjemność. Dorósł, ale nie dojrzał.

Gdzieś z oddali dobiegł go nagle odgłos silnika, więc odłożył patyk, wstał i wsunął za pasek trzydziestkę ósemkę otrzymaną od Kędziora. Wyszedł na środek parkingu i stanął w rozkroku, splatając ręce na piersi.

Zza zakrętu wyłonił się jakiś samochód, który zwolnił na widok pożaru, ale się nie zatrzymał. Milczek dostrzegł dziecko na tylnym siedzeniu, więc pomachał dyskretnie. Nie chciał przecież, by rodzice małego pomyśleli, że to wołanie o pomoc.

Odczekał chwilę, na wypadek gdyby nadjeżdżało coś jeszcze, po czym odwrócił się i ruszył w stronę pieńka. Gdy szedł, coś kazało mu zerknąć w stronę ściany lasu.

Wtedy ich zobaczył.

Chłopcy

Copyright © by Jakub Cwiek 2012

Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Sine Qua Non 2012

Redakcja – Tomasz Hoga, Sonia Miniewicz
Korekta – Joanna Mika-Orządała
Redaktor prowadzący – Przemek Romański
Opracowanie typograficzne i łamanie – Agnieszka Szatkowska
Okładka – Paweł Szczepanik
Rysunek na okładce – Iwo Strzelecki
Rysunki w środku książki – Robert Adler



All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN: 978-83-63248-60-4

Jakub & Cwiek

www.jakubcwiek.pl

<http://www.facebook.com/JakubCwiekOfficial>



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSQN